



Bill Carrothers Trio A Night at the Village Vanguard

Pirouet Records 2011

Dystrybucja: GiGi

Muzyka: ●●●●○

Realizacja: ●●●●○

Fortepianowe granie w stylu Billa Evansa to najkrótsza recenzja tego koncertowego albumu. Podobne klimaty, zbliżona melancholijna tonacja, a nawet coś w samym brzmieniu sprawia, że gdy słuchamy Carrothersa, przypominają się nagrania jego słynnego imiennika.

A skoro mowa o podobieństwach, to trzeba pamiętać, że najslawniejsze koncertowe sesje Evansa odbyły się właśnie w The Village Vanguard (1961). Nie dziwi więc, że często kojarzony z jego stylem Carrothers wybrał to samo miejsce, aby nagrać w 2009 roku dwa koncertowe kompakty dla audiofilskiej wytwórni Pirouet. W ubiegłym roku specjaliści od dźwięku z tej monachijskiej firmy wykonali mastering i teraz, dzięki świetnej realizacji, możemy się poczuć prawie jak na widowni.

Znanych kawałków nie brakuje. Od „Let's Get Lost”, przez „Time”, na „Days of Wine and Roses” kończąc. Carrothers nie ograniczył repertuaru do standardów. Obok jazzowych hitów znalazły się jego własne kompozycje, na przykład utwór „Snowbound”, grany głównie solo, z cytatem z „Dla Elizy”. Dopiero w jego drugiej części pojawia się sekcja. Poza tym mnóstwo innych atrakcji. W sumie aż 140 minut wciągającej muzyki. ■

Grzegorz Walenda



Stacey Kent Dreamer in concert

EMI 2011

Muzyka: ●●●●○

Realizacja: ●●●●○

„Dreamer in Concert” jest pierwszym albumem live Stacey Kent. Materiał zarejestrowano w czasie jej koncertu w Paryżu w maju 2011. Premiera płyty odbyła się w październiku tego samego roku.

W repertuarze znalazły się kompozycje znane fanom Stacey (standardy, piosenki francuskie) oraz nowe utwory, m.in. „Dreamer” Antonia Carlosa Jobima oraz „Postcards Lovers” i „O Comboio” (mój faworyt), napisane przez saksofonistę Jima Timlinsona – muzycznego i życiowego partnera wokalistki.

O Stacey mawia się, że śpiewa tak, by nie przeszkadzać odbiorcy w wykonywaniu codziennych czynności. Ta zabawna ocena pasuje także do jej najnowszej płyty. Muzyka płynie lekko, dyskretnie, nie absorbując zbyt słuchacza. Czysty i ciepły głos Stacey sprawdza się dobrze w balladach, sambach i utworach o szybszym tempie. Środki wokalne artystki są dość skromne, jednak charakterystyczna barwa jej głosu, swing, delikatne vibrato oraz pojawiające się czasem blue notes wystarczają do przekazania treści muzycznych i emocjonalnych. Chwilami może tylko przeszkadzać pewna „amerykańska” (nosowa) maniera, zapożyczona od piosenek country.

Stacey Kent towarzyszy zespół, z saksofonem, fortepianem i sekcją rytmiczną; niezły poziom gry muzyków i jazzowe solówki Tomlinsona dodatkowo podnoszą atrakcyjność albumu. ■

Bogdan Chmura



Adam Bałdych Magical Theatre

Elite Records 2011

Muzyka: ●●●○○

Realizacja: ●●●●○

Adam Bałdych, młody polski skrzypek, idzie w ślady naszych wielkich wiolinistów jazzowych – Zbigniewa Seiferta i Michała Urbaniaka. Aktualnie mieszka i występuje w Nowym Jorku, a jego album „Magical Theatre” zbiera pochlebne recenzje.

Płyta Bałdycha to barwna mieszanka odmian jazzu (fusion, mainstreamu, smooth), ethnicu, rocka, klasyki oraz melodyjnych tematów i solówek. Łatwo tu znaleźć tropy wskazujące inspiracje lidera – m.in. muzykę Jean-Luca Ponty, Urbaniaka czy Mahavishnu Orchestra. Te nawiązania, mniej lub bardziej dosłowne, powodują, że „Magical Theatre” brzmi cokolwiek wtórnice. Bałdych chętniej odnosi się do tradycji (lata 60. i 70.) niż do tego, co w muzyce dzieje się dziś. Zachowawcza postawa wykonawców może nieco zaskakiwać, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę ich młody wiek i muzyczne preferencje niektórych członków zespołu, np. basisty Piotra Żaczka.

Bałdych wypada chyba lepiej w roli skrzypka niż kompozytora. Jego gra jest dojrzała, pozbawiona pustej wirtuozerii, zniuansowana kolorystycznie i intonacyjnie. W repertuarze wyróżnia się „Princess Ballet Room”, z Joshem Lawrencem w roli głównej. Szkoda, że solówkę trębacza zdominowały mainstreamowe klisze. Ciekawie zabrzmiał też quasi-impresjonistyczny „Breaking Point”.

Warto posłuchać, choć spodziewałem się czegoś bardziej niepokornego. ■

Bogdan Chmura



Makoto Ozone
Live & Let Live
- Love For Japan

Verve 2011

Muzyka: ●●●●○
 Realizacja: ●●●●○

Projekt „Live & Let Live” powstał z inicjatywy japońskiego pianisty Makoto Ozone. Zyski ze sprzedaży albumu mają być przeznaczone na pomoc mieszkańcom obszarów zniszczonych przez tsunami w 2011 roku.

Do nagrań lider zaprosił kilku topowych artystów jazzu, m.in. Chicka Coreę, Gary Burtona, Randy Breckera, Paquita D'Riveirę. Cieszy, że w tym doborowym towarzystwie znalazła się też nasza wokalistka Anna Maria Jopek, z którą Ozone już wcześniej nagrywał („Chopin Road”) i koncertował.

Płyta zawiera tematy autorstwa wymienionych muzyków, standardy, solowe improwizacje lidera oraz jazzową wersję Adagia z koncertu klarnetowego A-dur Mozarta, wykonaną przez D'Riveirę, Ozonę i sekcję smyczków. To niewątpliwie najbardziej dowcipny i optymistyczny utwór całego albumu. Inną kompozycją, przykuwającą uwagę od pierwszych taktów, jest świetnie napisany i popisowo zagrany „Variations On Dance” – uroczy duet Ozonę i wirtuoza ukulele – Jake Shimabukuro. Nieźle wypadły kawałki postbopowe („Goldaze”, „There Is No Greater Love”), rozczarowała natomiast koturnowa wersja „Summertime”, zaśpiewana przez Gayle Moran.

Utwory zostały nagrane w różnych składach, a łączy je dobrze rozpoznawalny fortepian lidera. Rozległy repertuar i różnicowany styl gry zaproszonych artystów nie osłabiły albumu jako całości. Słucha się go z prawdziwą przyjemnością. ■

Bogdan Chmura



Robert Glasper
Experiment
Black Radio

Blue Note 2012

Muzyka: ●●●●○
 Realizacja: ●●●●●

Blue Note, kojarzona przez ortodoksyjnych fanów z płytami Silvera, Morgana i Blakeya, wydaje także – ostatnio coraz intensywniej – muzykę okołojazzową. Album czarnoskórego pianisty Roberta Glaspiera dobrze ilustruje politykę firmy, która chce docierać do szerokiego kręgu odbiorców.

Płyta zawiera utwory utrzymane w szeroko rozumianej stylistyce „black music” i zgrabnie łączy elementy soulu, bluesa, R&B, gospel, hip-hopu, jazzu i fusion. Podstawowy zespół Glaspiera (klawisz, bas, bębny) został poszerzony o kilkunastu gości, w tym grupę wokalistów, rapera i didżeja, zaś materiał zarejestrowano w różnych studiach.

Repertuar składa się z kompozycji wielu autorów, m.in. Glaspiera oraz – uwaga – Davida Bowie i Nirvany. Największą szansę zostania hitem albumu ma „Afro Blue”, z Eryką Badu w roli głównej. Jest to kawałek mocno nasycony czarną ekspresją, ze świetnym aranżem, brzmieniem i rytmicznym wykopem. Można w nim także posłuchać zgrabnych solówek lidera na fortepianie. Podobał mi się też „Gonna Be Alright” w wykonaniu Ledisi oraz „Fever”, z miłą barwą głosu Hindi Zahiry. Niestety, kiepsko wypadła „czarna” wersja „Smells Like Teen Spirit”. Pomysł przepuszczenia głosu wokalisty przez vocoder okazał się, mówiąc oględnie, mało oryginalny.

Dobry, choć nierówny album. ■

Bogdan Chmura



Ahmad Jamal
Blue Moon

ACM Productions 2012

Dystrybucja: CMD

Muzyka: ●●●●●●
 Realizacja: ●●●●●●

Fenomenalna porcja jazzu. Artysta ma 82 lata, a gra jak młodzieniaszek; do tego wyjątkowo utalentowany. Skomponował tylko trzy utwory, ale za to jakie!

Rozpoczynający album „Autumn Rain” to dynamit. Podobnie jak gra autora. Wprawdzie na pierwszy plan wysuwa się rytmiczny akompaniament Herlina Rileya (bębny) i Manolo Badreny (instrumenty perkusyjne), ale fortepianowe partie też są na medal. Basista, Reginald Veal, tym razem pozostaje w tle, dając o sobie znać, kiedy trzeba. Bardziej słyszemy go w utworze drugim, gdzie na wstępie „rozmawia” z instrumentami perkusyjnymi. Dopiero po kilkunastu taktach dołącza fortepian Jamala.

Utwór „Blue Moon” – kompozycja Richarda Rodgersa i Lorenza Harta – pulsuje podobnie jak utwór pierwszy. Parzyste rytmy dominują również w kolejnych. Bohater płyty postawił na rytm, ale jego muzyka nie ma nic wspólnego ze smooth jazzem. To mainstream w najczystszej postaci, do tego wyjątkowo łatwy w odbiorze. Mogą go śmiało słuchać wszyscy melomani, nawet ci, którzy nie są mocno osadzeni w jazzie. Ahmad Jamal nagrał płytę dla wszystkich wielbicieli wartościowej muzyki.

Realizatorzy dopilnowali, aby dźwięk dochodził do odbiorców w możliwie naturalnej formie. Mamy więc doskonałą muzykę i audiofilskie brzmienie. Takie nagrania nie zdarzają się często, więc gorąco polecam. ■

Grzegorz Walenda